LOKALNIE · OPINIA

PRZEWROTNY FEDERALIZM

Jan Rokita · 31 grudnia 2022



Pragnienie zmiany władzy w Warszawie jest w Brukseli tak silne, że w środku toczącej się wojny z satysfakcją doprowadzono by do ruiny graniczny kraj członkowski, byle osiągnąć cel. Stąd właśnie bierze się dzisiejszy problem Polski z Unią.

W Polsce zwykliśmy sądzić, iż naszym państwowym interesom najlepiej służy wspólnotowa, quasi-federalistyczna metoda działania Unii Europejskiej. Sam pamiętam doskonale, iż do takiego właśnie sposobu myślenia przekonał mnie przegrany przez Polskę spór o traktat lizboński. Wyszło wówczas na jaw, że ani polska lewica (Kwaśniewski 2004), ani prawica (Lech Kaczyński 2007) nie ma dość siły i pewności siebie, aby w krytycznym momencie nie ulec szantażowi zastosowanemu przez unijne mocarstwa. Potem w zasadzie każdego roku pojawiały się nowe empiryczne dowody na tezę, iż to Komisja i Parlament Europejski są w większym stopniu sojusznikami Polski niźli rządy państw grających pierwsze skrzypce w polityce europejskiej.

Kiedy Angela Merkel uparcie broniła zagrażającej naszemu bezpieczeństwu polityki forowania taniego (rzecz jasna dla Niemiec, a nie dla wszystkich) rosyjskiego gazu, to Parlament i Komisja próbowały przynajmniej stawiać tej polityce jakieś ograniczenia. A gdy Emmanuel Macron wybrał się w bezprecedensowy objazd Europy Środkowej, wzywając w każdej kolejnej stolicy do zerwania współpracy z Polską, która to wystąpiła w obronie wolności na unijnym rynku usług, znów Parlament i Komisja przez długi czas stawiały opór francuskiemu protekcjonizmowi, choć, niestety, w końcu i one uległy.

Co prawda na polskiej prawicy zawsze byli politycy oraz ideolodzy dowodzący, iż unijne instytucje wspólnotowe to tylko instytucjonalny listek figowy dla interesów mocarstw, które w ten sposób łatwiej mogą forsować skrywany plan europejskiej hegemonii. Z jednej strony była to konsekwentna linia myślenia narodowców (czyli późniejszej Konfederacji), z drugiej – niektórych konserwatywnych intelektualistów, którzy stopniowo zyskiwali rolę ideologicznego zaplecza PiS (Legutko, Krasnodębski i inni).

W takim kontekście zawsze natychmiast były przywoływane Niemcy ze swoim odwiecznym poczuciem uniwersalistycznej misji wobec Europy oraz szczególnym talentem do „europeizacji" swoich kłopotów wewnętrznych. I oczywiście zawsze można było znaleźć argumenty na rzecz takiego stylu myślenia.

Nagłe niemieckie kłopoty po otwarciu granic dla miliona obcych kulturowo afro-azjatyckich imigrantów usłużna Komisja Junckera chciała rozwiązać gigantycznymi karami, nakładanymi na kraje nie godzące się na przymusowe relokacje. A niemiecki pomysł na szybką dekarbonizację stał się niemal natychmiast urzędową ideologią Komisji i Parlamentu Europejskiego. Początkowo w ogóle odmówiły one zwrócenia uwagi na złowrogie konsekwencje realizacji takiego projektu dla krajów Środka Europy o odmiennym miksie energetycznym. Jednak do pewnego krytycznego punktu, który nastąpił gdzieś w połowie drugiej dekady obecnego wieku, polska pragmatyczna kalkulacja wypadała ciągle na korzyść instytucji wspólnotowych i tzw. wspólnotowej metody zarządzania sprawami Europy.

> Więc choć przesadne nawoływania do obudzenia się niemieckiego uniwersalizmu, z jakimi wystąpił w sławnej mowie berlińskiej minister Sikorski w 2011 r. robiły wrażenie podejścia nazbyt wasalnego, to fakt faktem, iż w tamtym czasie jeszcze oddawały one polskie rozumienie narodowego interesu oraz polski punkt widzenia na kierunek, w jakim winna ewoluować Unia Europejska.

Wątpliwości zaczęły się pojawiać właśnie gdzieś koło 2011 r. po tym, jak po raz pierwszy Parlament Europejski wybuchł furią ideologicznej złości wobec świeżo uchwalonej konstytucji Węgier i w ultymatywnym tonie zażądał jej zmiany. Rzecz, jak wiadomo, poszła o kwestie światopoglądowe, gdyż w Brukseli uznano, iż Węgrzy uchwalili konstytucję „wsteczną", a ich obowiązkiem wynikającym z członkostwa w Unii było uchwalić „postępową". Z kolei Komisja w tym samym czasie zaczęła przygotowywać tzw. „ramy prawne". Ostatecznie nigdy nie użyto ich przeciw Węgrom, ale za to już wkrótce miały się przydać do akcji przeciw Polsce. Z perspektywy dotychczasowego polskiego konceptu przyszłości ustrojowej Unii rzecz była niebłaha. Ów koncept – co zwolennicy polskiego członkostwa podkreślali z żelazną konsekwencją od czasu kampanii przed referendum akcesyjnym – polegał bowiem na tym, że zakładano co prawda stopniowe pogłębianie wspólnoty, w tym także rozszerzanie jej na nowe polityki publiczne, jednak nawet w najczarniejszych snach nie zakładano, że przyszłą podstawą wspólnoty stać by się miała jakaś nowa postępowa ideologia. Integracja miała być przecież gospodarcza i polityczna, ale nie światopoglądowa.

> Sprawa węgierskiej konstytucji to była swego rodzaju eureka: oto stało się jasne, że nie będzie głębokiej wspólnoty politycznej bez wymuszenia jedności ideologicznej.

Rzecz jasna, dla postępowych Polaków była to niespodziewana radosna nowina. Dla nie-postępowych albo niedostatecznie postępowych entuzjastów politycznej jedności Europy – prawdziwy grom z jasnego nieba. Oto wymarzona szersza europejska ojczyzna zaczęła im się walić na głowę. A krótko później, bo już jesienią 2015 r., wszystkie najgorsze przeczucia zaczęły się spełniać, już nie tylko odnośnie Węgier, ale również Polski. Najpierw Parlament, a potem pod jego presją także Komisja, rozpoczęły wielką grę zmierzającą do odsunięcia od władzy polskiego prawicowego rządu z jawnie ideologicznych powodów. Jednocześnie w toku tej gry napierały nie bez sukcesów na poszerzenie swego quasi-federalnego władztwa nad Unią. To był szok dla nie dość postępowych polskich zwolenników integracji i cios w ich wiarę we wspólnotową metodę budowania Europy. Postawieni przed tymi faktami, zostali zmuszeni do przewartościowania swego punktu widzenia. Wspólnotowość zaczęła im się jawić bardziej jako zagrożenie niźli jako szansa. Wiem dobrze, o czym mówię, bo sam musiałem przejść ów wstrząs i zacząć w myślach odbudowywać z gruzów na nowo własną wizję Unii. Duda i Morawiecki, obaj od zawsze „unijnie zaangażowani", ale teraz hamujący dalsze postępy idei federalistycznej, stali się politycznymi wyrazicielami tego nowego sposobu myślenia.

A potem do Europy przyszła zaraza, a wraz z nią wielkie rozczarowanie europejską wspólnotowością, zwłaszcza na południu kontynentu. Karierę zrobił naonczas slogan, jaki w marcu 2020 r. wielkim drukiem wybiła na swej czołówce włoska socjalistyczna gazeta „La Repubblica". Brzmiał on: „La brutta Europa". Sensacja była tym większa, że lewica była w Italii kimś na kształt strażnika wierności i lojalności wobec Brukseli. Włochy, które w pierwszej chwili zaraza zaatakowała najsilniej, szczególnie odczuły wówczas swe europejskie osamotnienie. Ich pretensje o brak wspólnotowego działania były co prawda (jak to w przypadku Italii bywa) trochę przesadzone, bo też Unia miała nikłe instrumenty interwencji w dziedzinę krajowej służby zdrowia. Ale jak się już wkrótce miało okazać, kryzys sanitarny wywołał najbardziej egoistyczne odruchy rządów europejskich, których symbolem stała się kompromitująca dla całej Europy tzw. dyplomacja szczepionkowa.

Bardziej uważnemu obserwatorowi epidemia ujawniła pewną ważną rzecz, którą wcześniej można było jedynie intuicyjnie przeczuwać. Ostry kryzys, wybuchły nagle, i to w dziedzinie, w której w Europie się go nie spodziewano, obnażył fałsz obowiązującej w Unii od lat retoryki, wedle której wspólnie łatwiej rozwiązuje się wszelkie problemy niźli odrębnie.

Tym razem wyszło jednak na jaw, że instrumenty i potencjał radzenia sobie z nagłym kryzysem posiada wyłącznie tradycyjnie zorganizowane państwo, dysponujące nie tylko klasycznymi służbami publicznymi, ale również suwerennym atrybutem proklamowania stanu wyjątkowego.

> Po pandemii jedno stało się jasne: unijny quasi-federalizm nie jest dobrą odpowiedzią na prawdziwie wielki kryzys. Jest nim tylko państwo, którego potencjał (*capacity* – mówiąc językiem Fukuyamy) wymaga w Europie pilnego umocnienia zamiast nieustannego pełzającego rozkładu.

Z traumatycznego doświadczenia COVID-19 miała płynąć istotna lekcja dla Europy. Najdobitniej ogłosił ją wówczas unijny komisarz ds. rynku wewnętrznego Thierry Breton w publikacji wydanej przez Atlantic Council. Jako remedium na dotychczasową unijną „pojednawczość i naiwność" komisarz zapowiadał „wyposażenie Europy w zdolność zarządzania i reagowania, wspartą zasobami i władzą", czyli nic in-

nego, jak skokowy postęp federalizmu. Najszybsze i kluczowe efekty takiego umocnienia kompetencyjnego instytucji wspólnotowych miały być według Bretona dwa: *primo* – ochrona europejskiej gospodarki przed nieuczciwą konkurencją wrogich autokracji, *secundo* – pilna dywersyfikacja źródeł surowców.

To był 2020 r. Kiedy dwa lata później wybuchł w Europie kryzys jeszcze poważniejszy i jeszcze bardziej dla Europejczyków niespodziany, czyli wojna, natychmiast wyszła na jaw pustota retoryki francuskiego komisarza. Tak samo jak dwa lata wcześniej albo i nawet w większym stopniu unijna gospodarka okazała się zależna od wrogich krajów, a jej nagłe odcięcie od Rosji wywołało perturbacje na skalę niewidzianą od dziesięcioleci. Praktycznie w niczym nie pomogło nieustanne poszerzanie władztwa Komisji przez fakty dokonane, zwłaszcza odkąd na jej czele stanęła pani von der Leyen. Podobnie jak przy okazji epidemii, tak i tym razem okazało się, iż to błędy polityki państw członkowskich miały kluczowy wpływ na wybuch kryzysu energetycznego i tylko gwałtowna korekta ich polityki, z Niemcami na czele, stanowić może ratunek. Ani zaraza, ani wojna nie dostarczyły nawet słabych dowodów na efektywność instytucji wspólnotowych w sytuacjach granicznych dla Europy.

Jest od tego jeden wyraźny wyjątek, i to o znaczeniu trudnym doprawdy do przecenienia: uwspólnotowienie długu publicznego. Dokonało się ono dwukrotnie, przy okazji obu tych wielkich kryzysów, obok postanowień traktatów europejskich, które czegoś takiego nie zakładały. Pierwszy raz, gdy Merkel i Macron, chcąc pozyskać głównie kraje śródziemnomorskie, ogłosili podwojenie unijnego budżetu 2021-2027 na poczet wspólnego długu całej Unii pod hasłem odbudowy kontynentu po zarazie. Drugi – gdy udało się przełamać weto węgierskie i podjąć decyzję, iż w 2023 r. z kolejnego wspólnego długu finansowana będzie działalność rządu ukraińskiego. Dzięki temu ostatniemu krokowi Komisja stała się instytucją popularną na Ukrainie, a rząd w Kijowie kazał rozwieszać w kraju billboardy z wizerunkami von der Leyen, obok podobnych z facjatami Bidena, Dudy i Johnsona. Na przyszłość ten instrument posłuży zapewne Komisji do roztoczenia zwierzchniego nadzoru nad polityką Ukrainy, o ile przetrwa ona obecną wojnę jako państwo niezależne od Moskwy. Ale z punktu widzenia stosunków władzy i zależności wewnątrz Unii rewolucyjne znaczenie miał krok pierwszy, czyli uwspólnotowienie długu zaciągniętego dla pocovidowej odbudowy Europy.

> Bez nadmiernej emfazy można już dziś ocenić, iż był to krok rewolucyjny, gdy idzie o metodę działania Unii Europejskiej. Umożliwił bowiem tak daleko idące rozszerzenie metody wspólnotowej, że Komisja pod kontrolą Parlamentu Europejskiego zyskała *de facto* (a tylko to w polityce się liczy) moc rozkazywania państwom członkowskim we wszystkich dziedzinach ich polityki, aż do określania treści konkretnych aktów prawnych, decyzji administracyjnych, wyroków sądowych, a nawet decyzji personalnych.

I to poza określonym traktatami i utrwalonym tradycją podziałem kompetencji pomiędzy instytucje krajowe i unijne, jak również z odstąpieniem od tzw. „zasady pomocniczości", która (nie wiedzieć czemu) nadal wykładana jest na uniwersytetach jako zasada ustrojowa rzekomo konstytuująca ustrój Unii. Co ciekawe zatem, przewrotny model federalizmu wygrywa teraz nie dzięki nowym traktatom, które by poszerzały dotychczasowy zakres tzw. wyłącznych polityk unijnych na przykład o ochronę granicy zewnętrznej albo zarząd strategiczną infrastrukturą drogową czy energetyczną. Takie poszerzenie pola wspól-

notowych kompetencji nie jest już potrzebne zważywszy, że biurokracja unijna wywalczyła sobie prawo decydowania w państwach członkowskich o wszystkim, o czym tylko aktualnie chce decydować. Może to być ustrój sądownictwa albo procedury działania parlamentu (jak w Polsce) lub też struktura administracji skarbowej czy reguły zamówień publicznych (jak we Włoszech). Do tego celu skonstruowany został polityczny koncept tzw. „kamieni milowych", dla których nie przewidziano żadnych ograniczeń kompetencyjnych. Model ten został już wcześniej wypraktykowany w tzw. unijnej polityce sąsiedzkiej, ale tam dotyczył krajów spoza Unii, zainteresowanych unijną pomocą finansową. Teraz został przeniesiony na kraje członkowskie, co oczywiście całkiem odmieniło jego naturę i polityczny sens.

Prawdę mówiąc, nie sposób dzisiaj przewidzieć, jak może dalej rozwinąć się ów nowy system wspólnotowego i suwerennego nadzoru nad polityką państw członkowskich. Zależy to bowiem co najmniej od dwóch nieznanych dzisiaj faktorów: raz – od tego jak długo budżet Unii będzie pełnić funkcję redystrybucyjną dla całego kontynentu, gdyż bez obietnicy pieniędzy cały ów misterny system nadzorczy zawalić by się musiał z dnia na dzień. Dwa – od tego, czy i kiedy nastąpi jakiś poważniejszy bunt grupy państw członkowskich przeciw opresyjnemu nadzorowi. Na to się na razie nie zanosi, gdyż pragmatyczni politycy rządzący w państwach członkowskich bardziej cenią dopływ zewnętrznych funduszów stabilizujących ich władzę, niźli podmiotowość polityczną własną i kierowanych przez siebie rządów. Przykład obecnego polskiego premiera może być w tej mierze uznany za podręcznikowy.

Wiemy już, że wbrew obiegowej opinii z żadnego z wielkich kryzysów, jakie ostatnimi laty dotknęły Europę, nie da się wyciągnąć lekcji o ustrojowej przewadze instytucji wspólnotowych nad tradycyjnym państwem. Niezwykły paradoks dzisiejszej Unii polega zatem na tym, że ta specyficzna nowa formuła przewrotnego federalizmu wygrywa w Europie właśnie wtedy, kiedy bynajmniej nie służy politycznej potędze Unii, ale jedynie radykalnej zmianie wewnętrznych stosunków władzy. Aktualna dziwaczna sytuacja Polski jest tu akurat znakomitym przykładem. Pragnienie zmiany władzy w Warszawie jest w Brukseli tak silne, że w środku toczącej się wojny z satysfakcją doprowadzono by do ruiny graniczny kraj członkowski, byle osiągnąć cel. Stąd właśnie bierze się dzisiejszy problem Polski z Unią. Raz jeszcze potwierdza się stara obserwacja Machiavellego, wedle której to zawzięte dążenie do osiągnięcia hegemonii, a nie deklarowane cele polityczne stanowi zazwyczaj prawdziwy napęd polityki i historii.

fot: pixabay

Oryginał: https://nlad-kopia1113.instawp.site/przewrotny-federalizm/

DOBRA ANALIZA WYMAGA CZASU

Rzetelny tekst to dni pracy: źródła, dane, redakcja. Każda wpłata pozwala nam przygotować kolejny. Nawet niewielka kwota ma znaczenie.

WSPIERAM ANALIZY

wspieram.nlad.pl



Zeskanuj, aby wesprzeć